

# Dola



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

## Dola

Wysoko, bardzo wysoko gdzieś, przewracał się po powietrzu, kąpał się w blaskach słońca, nurkował w światłości.

Poddawał ciepło to plecy, to puszczał promienie po piersiach, to po bokach, ku stopom.

Jakże piecze! Jak zatapia! Jak mocni!<sup>1</sup>

Chciałoby się jedną ręką chwycić kędyś w tej jaśni utajoną gwiazdę, drugą ręką drugą i tak wydzwignąć się na wyże niezmierne, jak gimnastyk wywija się na drążek.

Albo znów jak orzeł, skrzydła po ciele położyć i spaść w dół... piorunem spaść... ale dobiegając ziemi, skrócić w bok, minąć ten drobiazg i wpaść w pokryte jej cieniem otchłanie międzygwiazdne.

Szeroko, tu jest gdzie latać, nie zawadzi o nic, chyba tam niżej chmurę przetnie i znowu wynurzy się człek z oparu jak księżyc.

Przegiął się grzbietem do słońca i spojrział w dół.

Zobaczył chmurę, a na niej DOLEJ<sup>2</sup> zadumaną.

Płynęła ku zachodowi, by zastąpić od tamtej strony promieniowi słońca i przed zbytnim żarem zasłonić łąn pszenicy.

Miała ciemną, siwą szatę. Siedziała ponura z łokciami na kolanach, głową w dłoni złożoną. Z czoła jej czarne spadały włosy. Palce rąk włożyła w zęby.

Cicha, spokojna, na ciągle zmiennej chmurze twardym obrysowana konturem, trwała, nieprzemijająca pośród rozplywań i skupiań, zatracañ kształtów i tworzenia bezustannego — dziwne sprawiała wrażenie. Zdawała się w swej realności, na tle złudy, lotną mgłą, pośród twardych skał rzeczywistości. Obcą się tu wydawała, paradoksalną na własnym terenie, nie na miejscu, tu, skąd rządzić światem nawykła.

Roześmiał się na myśl, ile ma ta Dola dziś do roboty i nagle, w poczuciu swego królewskiego nadmiaru czasu, rozpostarł skrzydła, zamknął oczy i całą siłą rzucił się prosto przed siebie.

Leciał bez pamięci i kierunku. Wicher<sup>2</sup> mu gwizdał zrazu wielki koło uszu, ale potem i on ustał. Nie szarpał go teraz pęd za włosy, zrobiło się cicho, dreszcz nim tylko wstrząsnął zimny i czuł, że skrzydeł nie ma na czym oprzeć.

Mniejsza! Nie odmykał oczu, myślał tylko:

To jest chwila upojenia. Ach tak, to jest upojenie, to sen o wolności...

Ach, jakże się to robi... trzeba by zapamiętać... Mocne skupienie, wewnętrzna<sup>3</sup> wola, a rozmach członków sam się wyzwala w ruch. Ledwo sobie to uświadomisz, już wichry przeganiasz, wichry lecące w służbie.

To inny lot, po służbie... to przymus...

Rozkosz to bezkierunkowość.

Im zbaczać z drogi nie wolno, chyba że się roztrzaskają o przeszkodę.

Latać... bez przynagleń, co późnią<sup>4</sup>, bez brzemienia spełniań... to znaczy: latać... być wichrem-włóczęgą pośród wichrów żołnierzy, godzinami nie widzieć ziemi, nie czuć jej pod nogami nawet w wielkiej, ogromnej dali... być wysoko... wysoko, gdzie już nie ma

Rozkosz

<sup>1</sup> *mocnić* — wzmacniać. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *wicher* — dziś: wicher. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *wewnętrzny* — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *późnić* — dziś: opóźniać. [przypis edytorski]

nic do roboty nawet najprawowierniejszy promień słońca... to jest latać... Strasznie jakoś zimno!

Czuł pod zamkniętymi powiekami, że tonie w ciemni, pod bijącymi skrzydłami brakło powietrza...

Otworzył oczy.

Tkwiał w czerni niezmiernej. Niby jarzące się knoty świec pogaszonych błyszcząły czerwono gwiazdy w oddali przerażnej.

Przewrócił się na wznak, zdrętwiały niemal, a jednocześnie rozkoszą zamrozu objęty w tej bezdennej bezgłosej ciszy.

Chciał nabrać tchu w piersi, a wetchnął pustkę jeno. Krzyknął... nie zaszemrało nawet...

Był gdzieś na krańcach atmosfery, gdzie życie ustające już form żadnych nie ma.

I nagle z czarnej tej pustaci wyrzała ona, DOLA.

— Czego chcesz? — spytał szeptem — Czegóż się we mnie wpatrujesz, ty czarno-włosa, na nicości pilnująca nicości...?

Znowu mu była onej chwili tak wyraźna, tak materialna, wśród bezmaterialności otoczenia, że się zdumiał.

Zbliżała się, szła na niego... szła... szła... jak idą czasem różne rzeczy, gdy się w nie mocno, mocno wpatrywać... Wyłoniła się, jakby ot, z tamtej mgławicy błyszczącej, i pędziła, pędziła... Widać było coraz to lepiej owal twarzy na dłoniach opartej i oczy... Parły go, spychały w dół ku ziemi jak obce, wrogie ciała niebieskie.

Szła przed nią fala wielkiej energii, wiał prąd niewidzialny, zmiatający wszystko z drogi.

— Precz! Precz!

Próbował walczyć, wbił się skrzydłami w rzadkie powietrze i stanął jej wbrew.

Chwila... i cofnął się, uśliźnął, przegrał i pchnięty potężnie, spadł.

Uczuł znów pod skrzydłami cieplej gęste powietrze kręgów przyziemnych.

\*

— I mówią — prawil stary, że tylko wielka determinacja z nóg ją powalić zdoła... Choć znowu... pamiętam... ha... moiściewy, któż ta odgadnie co lepiej... Jemu, nieborakowi, nie na najlepsze wyszło...

Obciosywał siekierą kawałek drzewa na orczyk i słuchał starych.

Ale nie wiedział, o co im idzie. Myślał. Myślał, że wszystko, co się rusza na świecie, rusza się za pomału.

Prędeż! Prędeż! Jak wówczas!... Ach!

Sama wola... czuł, samo jeno: „CHCĘ”... samo to miało moc pochłaniania przestrzeni, zbliżania rzeczy odległych, usuwania bliskich zjaw.

CHCĘ... i gwizdał koło uszu wiatr...

CHCĘ... i ziemia stawała się małą połyskliwą kulką... Gdzieś, pod nogami znikwały niebiosy i czerwieniały gwiazdy najzłotsze.

Mrok zapadł. Wstał, spostrzegłszy teraz dopiero, że nic nie widzi i że cała robota na nic.

Hej! Na świat! Na świat!

Nagle otworzył drzwi i okroczyć chciał próg. Ale zdążył się jeszcze rozpędzić, dać sobie rozmach. Dlatego nie przewalił się przez coś, co siedziało w drzwiach, szare, w pierwszym spojrzeniu nie do poznania.

Skoczył i zdziwiony obejrzał się zaraz, nie bez trwogi.

Siedziało ich dwoje. Stary wskazywał nań palcem i opowiadał coś kobiecie... kobiecie o czarnych włosach, siedzącej z głową w dłoniach z palcami w ustach... Tak... tak, to znowu ona... — pomyślał — DOLA... a on?...

Strach mu zjeżył włosy na głowie, uciekać począł i stanął dopiero, zmiarkowawszy, że go od nich sto kroków bodaj dzieli.

Obejrzał się w sam czas, by widzieć, że wstają i idą w jego stronę.

Kroczą powoli, a przestrzeni tak szybko ubywa... zauważył, zdrętwiały...

Wokół pusto, nic tylko krzaki. Naraz, wydało się, że za każdym skryty stwór jakiś, co go będzie łapał, przytrzymał...

Kroczą powoli, a coraz są bliżej, coraz bliżej... już jeno sięgnąć ręką... Świecą... by<sup>5</sup> wilcze oczy DOLL... a on?

Starzec; włosy długie, płowe na twarz narzucił... twarzy nie miał żadnej. Wydało się, że szedł tyłem...

I w tym zamaskowaniu taki straszny był, że czuło się, iż życie się urwie jak nić pajęcza, skoro tylko... on... zechce...

Szedł. Szli. Prosto na niego.

Serce mu bić przestało... Już nie myślał nic... tylko coś w duszy, jakby obce, wrogie, a dobroczynne zarazem, bo skracające mękę czekanie, wołało ku zbliżającym się: „Przędziej! Przędziej!”

Ale nie umarł, bo oto oni ulitowali się w ostatniej chwili, skinęli sobie na pożegnanie i naraz rozeszli się w prawo i lewo, skręcając z nagłą w pola objęte mrokiem.

Dawno ich nie było, nim się odetchnąć ważył.

\*

Szedł z wysiłkiem, prąd był wartki.

Minęły czasy górnych jazd, szczęśliwej bezkierunkowości. O nogi były fale, każdy krok to zmaganie się bolesne, walka o nieświadome.

Pustać. Roztoką płynie potok, a zadanie... jakiś niewyraźny nakaz:

„Tę oto łódź, bez wiosła, dla kogoś... po coś hen... aż do lodowca, skąd płynę, doprowadź!”

Dorosły jestem, czułem tak. To się zwie: pełnia sił!

Łzy do oczu napłynęły.

Ktoś inny prędko, w sekundzie z wartkim płynie prądem... może prześpi nawet chwilę podróży... A ty, rób!

Na płaczu cudzym, na łzach płynąć w Jutro? Po co?

Rzeką szedł, co rwała z gór nienazwanych.

Rzeką szedł i cierpiał, biorąc na siebie cały przeciwny prąd i całą świadomość, że to daremne, że kiedyś zostanie spostrzeżone i ustanie taka rzecz, zgoła niepotrzebna.

Rzeką szedł w górę i czuł cały żal, że go teraz nie ma wysoko, wysoko na niebie.

Dorosły jestem, czułem tak. To się zwie: pełnią sił!

I ledwo tak pomyślał, osłabł rozkosznie i nie mógł walczyć z prądem przeciwnym i nie mógł podnieść nogi.

Zdziwiony był i osłabły, prąd go znosił.

O jakże prędko! Dwa dni temu mijałem ten zakręt... idąc w górę rzeki...

Niosła go woda, tonął i dziwnie mu było:

— Zwycięzam! — myślał... — Ginę! — myślał jednocześnie.

Podniósł oczy.

Brzegiem rzeki, pod prąd szła kobieta.

Szła obojętna, cicha, szata za nią siwa wiała i włosy czarne płynęły w przeciwnym wietrze.

Głowę na piersi zwiesiła, złożyła ją w obu dłoniach.

Szła pewnie, równo po płaskim brzegu, nie oglądając się wcale.

Gdy ją ujrzal tonący, nabrał sił.

Wbił nogi w grunt, rękami czepił się umykających wodorostów i ruszył naprzód... naprzód... naprzód... z zacziśniętymi zębami... łkaniem przyczajonym w piersi... naprzód... naprzód... naprzód...

<sup>5</sup>by — tu: niby, jakby; jak. [przypis edytorski]

\*

Był gzyms kamienny stary, ścieżka skalna, niewiadomymi rękami ułożona dla stóp nieznanych.

Stał, w rękę dzierżąc koniec łańcucha długiego i ciężkiego.

Dorobek — mówili — wieków...

I podać go trzeba tam, naprzeciwko, o kroków sto... włożyć w dłoń, co się wyciągnie...

A jeśli nie? A jeśli tam nie ma nikogo?

Domki widział w dole niskie, jakby rozplaszczone... przez komin by zajrzał niemal prosto w garnek...

Pod nogą się głązy chwieją. Powypierały je z oprawy zielska przerozmaite, poruszyły stopy czyjeś...

Ostrożnie... Ostrożnie!

Z dołu, spod nóg dolatuje głos dzwonu.

Świat do snu kołyszą te dzwony. Jakże nisko... Jak nisko zlatać muszą z nieba anioły z wiatykiem, do mrących tam w dole...

Na niczym nie możesz oprzeć dłoni. Skała odbiegła daleko, za dziesiątym krokiem... łańcuch ciężki... Spoczne!

Ale w spoczynku jeszcze trudniej... Nie. Ten gzyms, ten kawał drogi trzeba wziąć rozmachem...

Przeklęty kamień... Śliski gzyms łuku, którego filary niezmierne, wkopane gdzieś na dnie przepaści...

Ach, jakże daleko... Mówili: nie dalej, jak od jednej myśli, do drugiej... tak mówili...

W drogę! W drogę!

Świat na dole, teraz czerwony. Słońce zachodzi właśnie... ogląda się... Na mnie patrzy... Czuje żal, że nie zobaczy, jak się to skończy... Widowisko niecodzienne...

Hej staruchu! A co się tam stało z ostatnim... z ostat...

Jezus Maria! Nie! Nie sposób... Spoczne!

Drżą nogi. Mówili... wyteż moc chcenia... nie spoglądaj na prawo, nie spoglądaj w lewo... Nie ma cieniów... nie daj się ludzi ceniom, co zastępują drogę... Ach... jest... jest cień... Wychylił się zza skały... Nie, to ręka się wychyla... ręka... Masz! Bierz!...

Idzie ktoś śmiało po śliskich głązach z wyciągniętą dłonią.

— Pokaż stygmat!... — wołam.

Idzie, nie słucha...

— Pokaż znak!

Wyciąga dłoń... Nie ma znaku... A... to ona!

Czego chcesz? Nie dam!... Nie... nie! Precz! Z drogi!

Spoza pleców DOLI wychylił się człek z włosami płowymi na twarzy. Śledził tok walki... krótkotrwałej.

Człowiek z łańcuchem pchnął DOLEĘ w pierś. Zachwiała się.

— Precz — krzyknął i wymierzył cios drugi, między oczy.

Wtedy ów przyczajony podniósł rękę do twarzy powoluteńku, drugą podtrzymując padającą od uderzenia DOLEĘ.

I wpatrzony w wysłańca, rozchylił na czole włosy.

Ciężki łańcuch uderzył o kamienie i stoczył się w bezden przepaści wraz z zmartwiałym ciałem pielgrzyma, wyslanego pracownika JUTRA.... którego poraził ZAMRÓZ-STRACH.

\*

Otworzył oczy. W szafirowej jakby mgłę ujrzał śmigłe filary mostu. Leżał na wznak na łące kwietnej, bezsilny, jakby po ciężkiej chorobie.

Nie bolało go nic. Tylko przy każdym ruchu, przy każdym niemal oddechu, szeptało mu coś: „I na cóż! I na cóż!”.

Wszystko już skończone, załatwione, wyczerpana treść życia... ot wspomnienie jedno, drugie i koniec.



Dawne czasy... Loty dalekie na wszystkie strony, bezobowiązkowe nadzorowanie wszechświata.. Porażenie Strachem...

Od jakichże drobnych rzeczy, pomyślał, zależy Jutro... Od jakichże nikłych ocznych złud...

Nie chciało mu się myśleć. Wodził oczy, a wokoło, po łące, na każdym kwiatku napotkanym dając wypoczywać oczom.

Podniósł wzrok.

Był luk potężny, od skały do skały, górą gzymsem obrzeżony. Jakieś wpółzatarte na nim widniały rzeźby, końskie nogi wzniesione do skoku, ostrza dzid w rękach wojowników.

Zamykał widać jar głęboki, był jakby bramą doń... tak, bramą był.

Potężne skrzydła bramy, zawarte, świeciły ponuro pociemniałymi okuciami spiżu. Dźwigały się poważnie ku górze.

Wiódł oczyma po wstępującej linii potężnych gwoździ.

Nagle zerwał się. Siadł, przerażone oczy wbijając w półkolistą przestrzeń nad skrzydłami bramy.

Tkwiała tam twarz olbrzymia, ciemna, o wielkich, połyskujących oczach.

Dola złożyła głowę na splecionych rękach, palce włożyła w usta i wpatrywała się cicha, niema w siedzącego.

Teraz dopiero zobaczył, że ona to sama była skrzydliskami bramy, do jaru wiodącej... Suknia jej ciemna opadała w szerokich, płaskich fałdach, suknia siwa, usiana gwiazdami z poczerniałego złota.

\*

I nagle śmignęło mu przez głowę, by stoczyć z nią bój.

Pamiętał, że się zachwiała pod jego ciosem wówczas... czuł moc teraz... czuł w sobie nakaz...

Zerwał się i rzucił na zapatrzoną.

Wymierzył cios potężny w jej kolano... i padł na ziemię. Pięść jego nie trafiła na ciało.

Wstał.

U stóp jego leżała siwa suknia Doli... Na trawie zaś, poczarne jakieś błyszczwały kwiaty czy oczy...

Wpatrzył się w nie...

Rozpływały się, wyraźnie zachodziły mgłą, wsiąkały w ziemię...

Gdy tak stał zapatrzone, uczył nagle, że go ramię czyjeś obejmuje.

Podniósł oczy i ujrzał pochyloną nad sobą twarz anioła ciszy wieczornej.

Anioł podparł silnym ramieniem chwiejącego się z wysiłku walki i przerażenia i rzekł cichym, śpiewnym głosem:

„Oto nadszedł czas odpocznienia... chodź, pracowniku wierny pożywać wieczerzę po dniu znojnym. Otwarte są ogrody pańskie dla spracowanych na polu jego”.

Uczuł, że na oczy mgła mu spada jakaś przejrzysta, a przez tę mgłę ujrzał w zamkniętej łukiem przestrzeni długie, nieskończenie długie aleje cyprysowe, ginące gdzieś w pomroce dali.

— Chodź! — powtórzył anioł i poszli.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-dola>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, *Tropy*, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Chormańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).